

Rozdział 13: Ku hańbie wszystkich ludzi

(Rozdział opowiada o wyzwaniu obozu koncentracyjnego. Zostaliście ostrzeżeni.)

“Przeklęty człek który umiera

Gdy żyje zło z niego zrodzone!”

- Kalif Abu Bakr

*

– „Applejack”, co? Zabawne imię.

– Myślisz, że załapiemy się na akcję, Applejack? Nie zamierzam wrócić do domu i powiedzieć, że wojna się skończyła zanim dotarłem.

– Nie byłoby fajnie gdybyś była pegazem? Mogłabyś się rozprawić z tym deszczem.

Jackie wyglądał na wkurzonego, ale Applejack nie widziała go w innym stanie odkąd został „sierżantem Flynnem”.

– Hej, AJ – warknął cicho. – Wydaje mi się, czy ci nowi goście są cholernie nieznośni?

– Idziemy tak już od rana! Hej, Applejack, podwiozłabyś mnie kawałek?

– Jesteś tu od D-Day? Ilu Niemców załatwiłaś?

Po sekundzie namysłu pokręciła głową.

– Wydaje ci się.

Wyszczerzył zęby. Sarkazm nie był mu obcy.

– Tak też myślałem. Przysięgam, że my nie byliśmy tacy tępi.

Oddziałik Flynna nie był uznawany za oddział liniowy, więc zawsze byli ostatni w kolejce uzupełnień. Dopiero teraz przydzielono im nowych żołnierzy ze Stanów, kiedy nie było z nich już żadnego pożytku.

Applejack przeżyłaby bez tego.

– Podoba mi się Mohammed – przyznała, starając się skupić na pozytywach. – Jest cichy. Widziałam go razem z Dużym Lee i Macintoshem, jak po prostu stoją w ciszy. Całkiem urocze na swój sposób.

Jackie wykrzywił się w grymasie.

– Mohammed? Hm. Nie wiem, czy mu ufam.

Applejack zamrugła.

– Huh? Dlaczego nie?

– To tylko... ach, nieważne. – Splunął na bok. – Jest inny, wiesz?

Zanim Applejack zdążyła wyjść z jedną z *wielu* odpowiedzi, jakie przychodziły jej do głowy, kontynuował:

– W każdym razie, AJ. mam dobre wieści. W końcu będziemy coś budować. Wiesz, to co mieliśmy robić od samego początku. Paręnaście mil w dół drogi mamy zbudować tymczasowe kwatery. Wyciąć drzewa, wykopać latryny, dać ludziom dach nad głową.

Ciężka, uczciwa praca. Przytaknęła.

Świeżaki będą pewnie marudzić jakby jutra miało nie być.

– Nie wiesz dla kogo?

Zapytała od niechcienia, niezbyt zainteresowana odpowiedzią. Oby byli to uchodźcy albo poszkodowani, nie jakiś generał, niechcący ubrudzić sobie butów. W każdym razie, tyle samo pracy.

Zauważyła jego wahanie. Jacke patrzył na nią, uśmiechając się nerwowo. Przez chwilę znów był roztrzęsionym kapralem, nie wkurzonym sierżantem.

Applejack westchnęła. Ta nerwowa pauza mówiła jej wszystko. Dziwne, że nie myślała o tym od miesięcy. Zajęta własnymi problemami, zapomniała po co właściwie tu przybyli.

– Obóz koncentracyjny – odparł krótko. – Twoi rodacy.

Jak się okazało, mniej niż jedna czwarta spośród zgromadzonych była „jej rodakami”. Kilkadziesiąt bezrogich jednorożców wśród kilku setek więźniów.

Wychudzeni ludzie w pasiakach i wychudzeni Equestrianie, opierają się o siebie, by ustać na nogach. Nikt spośród nich się nie uśmiechał. Nikt nie miał nic do powiedzenia. Gdy Lee kazał im stanąć dziesiątkami posłuchali w milczeniu.

Applejack też nie miała nic do powiedzenia. Zabrała się do pracy.

Czuła się... dobrze i źle jednocześnie. Dobrze, że była tu dla nich. Źle, że nie wstrząsnęło to nią tak, jak powinno.

Warknęła, wyglądając z latryny, którą kopiała. Co było z nią nie tak? To był właśnie powód, dla którego tu przybyła. Głodne, udręczone kucyki, które zapomniały jak się uśmiechać. Nie powinna czuć się... spełniona? Może nie „szczęśliwa”, ale dumna, że im pomaga?

Ale widziała tylko pracę do wykonania. Dobrą pracę, bardzo dobrą, która miała im się przysłużyć. Ale to tyle. Praca. Po skończeniu tej przyjdzie czas na kolejną.

Pamiętała, jak rozdarta czuła się oglądając widząc tamte zdjęcia w Ponyville Express. Jak schowała je przed Applebloom. Jak uciekła do sadu, żeby młodsza siostra nie widziała jej płaczu.

W jej myślach pojawiła się twarz Manny'ego. Applejack uśmiechnęła się krzywo. *Łatwo komuś współczuć kiedy wszystko jest w porządku. Kiedy myślisz o śmierci i zastanawiasz się, czy nie jesteś następny... robi się trochę trudniej.*

Wojna się skończyła, ale nadal mogła zginąć w każdej chwili. Jeden z nowych nadepnął wczoraj na minę.

Wychodząc z wykopanego dołu, zauważyła, że Amerykanie unikają kontaktu wzrokowego z więźniami. Tak było łatwiej. Powiedz sobie, że jesteś bohaterem, że pomagasz. Ale nie patrz zbyt uważnie. Nie myśl o tym zbyt dużo.

Applejack zacisnęła zęby. To nie było w jej stylu, a nawet gdyby, przestałoby być tego dnia.

Obóz został wyzwolony przez kompanię zwiadu wcześniej tego samego dnia. Ich porucznik zrzucił odpowiedzialność na Jackiego tak szybko jak tylko mógł.

– Boją się prawdy – warknęła pogardliwie.

Po chwili skarciła się w myślach. *Dokąd zmierza? Może czeka go tam niebezpieczeństwo, kiedy my siedzimy tutaj i bawimy się w bohaterów?*

– Nie mogę zostać i wam pomóc – odparł porucznik. – Straciliśmy już zbyt dużo czasu czekając na was! Zostałem tu tylko, żeby dopilnować, żeby do niczego nie doszło pomiędzy nimi a ludźmi z wioski.

– Co, nie zniżycie się, żeby trochę popracować? – odwarknął Jackie, z jeszcze większą goryczą w głosie. – Dlaczego nie mieliby zostać tam?

Wskazał w kierunku otoczonego drutem kolczastym więzienia. Drewniane baraki i

wieżyczki strażnicze, wszystkie w doskonałym stanie. Nawet ogrodzenie było nienaruszone. Kiedy strażnicy odeszli, więźniowie... nie pomyśleli nawet o ucieczce. Goście z kompanii zwiadu musieli wyprowadzić ich na zewnątrz.

Applejack zamrugła. To był dobry pomysł – czemu po prostu nie wykorzystać obozu?

Porucznik ponownie pokręcił głową, tymczasem ze strachem bardziej niż w pośpiechu.

– O, nie, nie wrócę tam za nic w świecie i nie zamierzam zmuszać do tego tych biedaków.

Minęła chwila, gdy niespodziewane przerażenie w jego głosie zbiło Jackiego z tropu.

– To nie fair. – Głośno pociągnął nosem. Odwrócił wzrok, głos mu drżał. – To po prostu nie fair. Tyfus, grypa, czy coś zdziesiątkowało to miejsce. Po prostu... podłogi w gównie i rzygowinach. Strażnicy nic nie zrobili z ciałami, po prostu je zostawili. Jeśli jakiś więzień ich dotknął, zabijali go, więc po prostu dali ciałom tam leżeć. Dwa razy ich więcej niż tych, którzy przeżyli. W kwaterach sypialnych, w błocie...

Wskazał w kierunku wież, starając się zakryć twarz ramieniem. Applejack udawała, że nie widzi jego łez.

– Wiesz, co mówią? Że to był jeden z *lepszyc* obozów, gdzie umierałeś powoli, zamiast szybko. Szwaby nic nie robili więźniom, poza wykorzystywaniem jednorożców. Ale jeden strażnik wymyślił sobie grę... strzelał do kogoś, żeby go zranić. Zabijany był pierwszy, który próbował pomóc. – Zaśmiał się gorzko. – Mówią, że drań wpakował się w kłopoty za zastrzelenie jednorożca. Wiecie, gdzie teraz jest? Gdzieś w okolicy, w którymś miasteczku, w swoich gaciach na szelkach i opowiada, jak to nie kocha Ameryki.

Potem odszedł, wracając do wojny, jaką znał.

Jack westchnął, spoglądając w kierunku, gdzie pozostali ustawiali namioty i baraki. Był wstrząśnięty, ale jeszcze nad sobą panował.

– Boże, praca z żywymi jest już trudna... Myślisz, że ktokolwiek zgłosi się do kopania grobów?

Klacz przełknęła z wysiłkiem. *Nie odwracaj wzroku. Taka jest prawda.*

– Ja.

Zastanawiała się, czy Jackie zaprotestuje, ale tylko przytaknęła i skinęła ręką.

– Wygląda, że znalazłaś sobie pracę na dziś.

*

Za jej przykładem, kilku innych dołączyło do pomocy przy grzebaniu zmarłych. Może byli uparci jak ona, a może widząc ją poczuli się zbyt zawstydzeni, by nie dołączyć. Dziwnie było widzieć wśród nich Freda... chłopak był silniejszy, niż myślała.

Za ogrodzeniem kryło się okropne miejsce. Wiosenne błoto, którym nikt się nie zajął, zmieniło obóz w bagno. Przynajmniej większość ciał leżała na suchych pryzkach – wygłodzeni i chorzy, którzy skulili się tam, by umrzeć. Ci na zewnątrz, na wpół zatopieni w błocie... mieli śnić się jej w koszmarach.

Z początku, Applejack poświęcała im czas. Starła się zapamiętać każdą twarz. Przypomnieć sobie najmniejsze szczegóły. Także ludzi. Oni też byli ofiarami. Chowala każdego w osobnym grobie.

Pochowała sześciu, zanim zdała sobie sprawę, że w tym tempie zajmie jej to miesiące. Było ich zbyt wielu.

Nic nie mogła poradzić. Przyśpieszyła. Wyciągała ich z baraków, do dołu. Paskudne, brudne zadanie. Ciągnęła ich na kawałku materiału, zamiast dotykać ich ustami.

Wmawiała sobie, że nie ciągnie ludzi. Tylko puste skorupy. Osoby, które w nich były, odeszły – nie wiadomo dokąd, ale daleko stąd.

Nie mogła jednak zapomnieć, że byli to ludzie – martwi, czy nie. Nie miała czasu, by zapamiętać każdą twarz. Ale przeprosiła ich za nieczułe traktowanie. Poczuła się nieco lepiej.

Ostatnie ciało potoczyło się na dno dołu. Ludzka kobieta. Zwłoki wprost roily się od larw.

Applejack zdążyła odwrócić głowę, zanim zwymiotowała. Nic z jej obiadu nie znalazło się w dole. Czuła się z tego dziwnie dumna. Ci biedacy zostali już dostatecznie upokorzeni.

Splunęła i pokręciła głową. Z powrotem do pracy. Musiała wracać do...

Ktoś położył jej rękę na ramieniu. Jackie, a obok niego...

– Derpy? – Jej się nie spodziewała.

– P-p-przyniosłam ci pocztę – zająknęła się kłacz-listonosz, kompletnie nie na miejscu pośrodku błotnistego cmentarza. Trzęsała się szczękając zębami. Chwiała jej się głowa, a jednym okiem spoglądała na wykopany przez Applejack dół. Przebierała nogami, jakby szykowała się do ucieczki.

Uciekaj!

– Derpy, wynoś się stąd, zanim zemdlejesz.

– Musiałam to zobaczyć – odpowiedziała, zdyszana. – Słyszałam, jak niektórzy mówili, że zdjęcia są fałszywe. P-proga... proda... propaganda. Kłamstwo, żeby nas w to wmieszać. Musiałam to zobaczyć.

Plotki. Armia była ich pełna. Applejack warknęła, przyjmując swój ton „starszej siostry”.

– Zobaczyłaś, więc zmykaj stąd. Mam tu pracę do skończenia.

– Daj mi pomóc! – pisnął pegaz.

Applejack spojrzała na nią z niedowierzaniem, ale po chwili uśmiechnęła się

łagodnie. Derpy odchodziła od zmysłów ze strachu. Drżące kolana. Okropny odór. Umysł skręcający się od otaczającego bezsensu. Niemal gotowa by zwymiotować i zemdleć. Niekoniecznie w tej kolejności.

I pomimo tego wszystkiego... chciała przede wszystkim pomóc. Applejack była z niej tak dumna. *To ona pokazuje wszystko, co dobre w Equestrianach.*

Ze swoim najbardziej „przywódczym” głosem, Applejack przytaknęła.

– Idź do tych, którzy są na zewnątrz. Zobacz, jak możesz pomóc tym, którym jeszcze da się pomóc. Tych tutaj zostaw mnie.

Derpy skinęła, uśmiechając się szeroko. Applejack jej nie przeganiała. Mogła pomóc, tylko... nie tutaj.

Jackie pociągnął nosem, posyłając milczący uśmiech odlatującemu pegazowi.

– Niech cię, AJ, dobrze sobie radzisz z dzieciakami. Chyba mamy miejsce dla nowego kaprała, gdybyś była chętna.

Mógł mówić to na poważnie. System miał na ten temat inne zdanie. Applejack pokręciła głową, na co sierżant wzruszył ramionami.

– Jasne. Tak czy inaczej, dobrze sobie z nią poradziłaś. Ostatnie czego potrzebujemy to robienie tu scen.

– Nic takiego. Pomaga nam tak samo jak ja. – Uśmiechnęła się z dumą. – Przyda się przy nich. Gwiazdy wiedzą, że ci którzy jeszcze dychają bardziej potrzebują pomocy od tych tutaj biedaków.

– Hm. Przy okazji. – Jackie wskazał kciukiem w kierunku bramy. – Potrzebuję kogoś z głową na karku, a twoje imię jest na szczycie listy. Musimy wybrać się po żarcie do tej wioski którą minęliśmy. Kiedy wstawałem dziś rano jakoś nie spodziewałem się dodatkowych trzech setek do wykarmienia.

Rajdy po żywność tylko krok dzielił od otwartego plądrowania. Jeżeli cywile oddawali jedzenie dobrowolnie, dostaliby zapłatę w bonach, które teoretycznie mogli później wypłacić. Jak każda inna transakcja... z tym, że żołnierze nie przyjmowali odmowy.

Trzysta brzuchów do wykarmienia... głodnych już od dłuższego czasu.

Uśmiech na twarzy Applejack zbladł, ale nie zniknął zupełnie. O nie, odmowa nie wchodziła w grę.

*

Małe niemieckie miasteczko, zbyt małe żeby zwrócić uwagę bombowców. Pewnie nie zmieniło się przez ostatnie stulecie. Żadnej swastyki w zasięgu wzroku.

Próbowali odmawiać. Liczne przeprosiny i uprzejme uśmiechy. Wyjaśnili, że sami nie mieli wiele. Piekarnia była pusta, ale łapówka rozwiązała język jednemu z dzieciaków: piekarz wiedział czego się spodziewać i rozdał jedzenie sąsiadom. Miasteczko było na tyle małe, by wszyscy się znali. Lepiej było oddać chleb znajomym i sąsiadom niż obcym.

Nie mając szczęścia w sklepach, żołnierze zaczęli przeszukiwać domy. Jeśli nikt nie otwierał, Applejack wyważała drzwi kopnięciem. Każdy zapewniał, że ich spiżarnie są puste. Niektórzy mówili prawdę. Inni mieli kielbasy, chleb i mąkę. Żołnierze bezceremonialnie rekwirowali wszystko. Nikt nie protestował zbyt głośno, nie widząc broń w rękach Amerykanów.

Mimo to, niektórzy płakali i błagali. Nie kłamali mówiąc, że miasteczko nie miało wiele.

Jeden z nich złamał serce Applejack. Na kolanach błagał, by oszczędzono jego spiżarnię. Miał ciążarną żonę i dwunastoletnie dziecko chore na grypę.

Biedak, musiało go to zżerać od środka. Ludzcy mężczyźni nienawidzili błagania i okazywania słabości.

Applejack nie uwierzyłaby, że Mohammed mógł się zezłościć, ale teraz nadrobił za stracone okazje. Wściekle kopnął mężczyznę na oczach jego żony. I jeszcze raz, prosto w brzuch.

– BŁAGANIA NIC CI NIE DADZĄ! – ryknął. Nawet Applejack się od niego odsunęła.
– Nie po tym, co zrobiliście! Mniej niż pięć mil stąd!

– Nic o tym nie wiem – jęknął mężczyzna, kuląc się. Jego żona klękła obok, zasłaniając go własnym ciałem.

Ledwie pięć mil od miasteczka... i o niczym nie wiedzieliście?

Applejack prychnęła z pogardą. Mohammed na tym nie poprzestał.

– KŁAMIESZ! KŁAMIESZ PRZEDE MNĄ I PRZED BOGIEM!

To tyle. Zabrali jego chleb i mięso i ruszyli do kolejnego domu.

Może było z nią coś nie tak, ale Applejack nie czuła żalu. Ci tutaj nieco schudną. Dobrze. Tamci pięć mil dalej zapomnieli już smaku jedzenia. Mieszkańcy wioski musieli widzieć budowę lub iść zobaczyć co się dzieje...

... albo słyszeć strzały kiedy strażnicy ćwiczyli strzelanie do celu.

Spochmurniała. Nie obchodziło ich to? Bali się?

„Nieważne”, warknęła w myślach. „Nie kiwnęli nawet palcem, żeby pomóc ludziom którzy nie zrobili im żadnej krzywdy. Zapłacą za naprawienie tego. Zadbamy o to.”

„Może powinniśmy zagonić ich do kopania grobów.”

Sprawiedliwość, czy tylko zemsta? Applejack nie była pewna, ale tego właśnie chciała. Przyprowadzić ciążarną żonę i dzieci. Oprowadzić ich po obozie, pod lufą, jeśli będzie trzeba. Pokazać im, co działo się tak blisko ich domów. Pokazać im gorzką prawdę, której nie przełknęliby sami.

„Niech wtedy próbują powiedzieć że nie wiedzieli”

Ogarnięta tą myślą poszła szukać Jackiego. Może on mógłby to załatwić.

Od autora:

Przeciwieństwem Miłości nie jest Nienawiść. Jest nią Obojętność. Gdy nic nikogo nie obchodzi.

-Leo Buscaliga, pisarz

Gdy powstawał pomysł na tego fanfika miałem w planach napisać wiele na temat holocaustu. Zbrodnie, historia, trwające wciąż kontrowersje.

Wiecie, co jest smutniejsze od intensywnego zgłębiania tego tematu? Ja też nie. Napisałem to, co wydawało się naturalne dla opowieści, którą będę kontynuował aż do końca.

Jeśli ma to jakieś znaczenie, stoję po stronie Applejack: w obliczu zła milczenie i akceptacja równają się współdziałaniu. Obywatele są odpowiedzialni za działania swojego rządu. Wojna i zbrodnie nie były winą jednego człowieka ani partii. Winny był naród i uważam, że cicha większość Niemców która podążała za swoimi przywódcami podziela ich winę.

Łatwo mi to mówić, prawda? Nie rządzi mną tyran, nikt nie przystawia mi lufy do głowy. Jakikolwiek jest wasze zdanie, ja jedynie przedstawiłem wam swoje.